

Donatella  
Di Pietrantonio

# OPOWIEŚĆ SIÓSTR

Przełożyła  
Lucyna Rodziewicz-Doktór

Książka ta jest wytworem fantazji. Jakiegokolwiek odniesienie do miejsc, wydarzeń i osób jest wynikiem pracy wyobraźni. Niewielkie zmiany w topografii Pescary oraz w chronologii niektórych wydarzeń wynikają z potrzeb narracji.

Originally published under the title *Borgo Sud*

Copyright © 2020 Giulio Einaudi editore s.p.a., Torino

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce © Priscilla du Preez/Unsplash

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3288-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

# I

Deszcz lunął na nas podczas uroczystości bez ostrzegawczego grzmotu, nikt spośród zaproszonych nie zauważył, jak nad ciemnymi od lasów wzgórzami gęstnieją chmury. Siedzieliśmy przy długim stole rozstawionym na trawniku, kiedy woda zaczęła nas smagać. Właśnie jedliśmy spaghetti, butelki z winem zostały już do połowy opróżnione. Na środku haftowanego obrusu leżał pachnący wieniec laurowy, który Piero zdjął po zrobieniu zdjęć. Po pierwszych kroplach spojrział w niebo i zaraz potem na mnie siedzącą u jego boku. Już wcześniej uwolnił się od garnituru i krawatu, rozpiął kołnierzyk, a rękawy podwinął do łokci: jego skóra promieniała zdrowiem. Niewiele spał, ja też nie, zasnęliśmy dopiero nad ranem. Przez kilka chwil po przebudzeniu nie wiedziałam, kim jestem, kogo kocham i że zaczyna się szczęśliwy dzień.

Piero wyglądał na zaskoczonego niepogodą. Do jego kieliszka wpadła grudka lodu. Niektórzy kończyli jeszcze przeżuwać, nie wiedząc, co mają robić. Moja siostra już biegała wokół, zbierała owalne talerze z resztkami makaronu oraz koszyki z chlebem i zanosła je do kuchni na parterze. Schroniliśmy się pod

zadaszeniem, podczas gdy Adriana, mimo wichury, ciągle biegała między domem a stołem. Wrywała burzy pożywienie, nieprzywykła do marnotrawstwa.

Wychyliłam się, żeby odebrać od niej ostatnie tace, i wtedy spadł na mnie kawałek rynny. Ze zranionego policzka pociekła krew, która na piersi mieszała się z deszczem. Na tę okazję wybrałam białą sukienkę. Rano, gdy ją mierzyłam, Adriana powiedziała, że mi w niej dobrze. Pojawiłyśmy się przed czasem, żeby pomóc w przygotowaniach. Przez okno widziałam niski i cichy lot jaskółek, one już przeczuwały deszcz. Natomiast mama Piera wcale się deszczu nie spodziewała, to ona naciskała, żebyśmy zakończenie studiów uczcili w ich domu na wsi.

Zachowałam nasze zdjęcie, jak patrzymy na siebie zakochani: Piero z wieńcem laurowym na głowie, z oddaniem w oczach. Z boku pojawia się Adriana – w ostatniej chwili weszła w kadr: jej sylwetka jest niewyraźna, włosy jak ciemna smuga. Nigdy nie była dyskretna, wtrącała się we wszystko, co mnie dotyczyło, jakby dotyczyło i jej, nie wykluczając Piera. Widziała w nim brata, ale takiego uprzejmego. Na fotografii siostra śmieje się beztrudnie do obiektywu, nieświadoma tego, co zobaczymy. Zabrałam ją w tę podróż: trójka młodych ludzi uwieczniona na papierze i zamknięta w wewnętrznej kieszeni torby.

Po wielu latach trafiłyśmy z Adrianą na białą sukienkę pośród nienoszonych ubrań. Na tkaninie malowała się blada aureola z krwi.

– To był znak – powiedziała, wymachując mi nią przed nosem.

## 2

Nie potrafię zasnąć w hotelowym pokoju. Poddaję się zmęczeniu, ale zaraz się budzę, otwieram oczy w ciemności. Minęło wiele czasu, a przyjęcie z okazji obrony pracy magisterskiej przez Piera to już tylko niewierne wspomnienie albo fragmentaryczny sen. Po wczorajszym telefonie pewnie nie zdołam ustalić żadnej prawdy. Spod drzwi prześwituje słabe światło z korytarza, słychać dalekie odgłosy. Napływają kolejne wspomnienia, stłoczone, splątane. Pamięć wybiera z talii pojedyncze karty, miesza je, czasami podmienia.

Cały dzień spędziłam w pociągu, często się przesiadałam, słuchając zapowiedzi wpierw po francusku, potem po włosku. W mgnieniu oka umykały mi nazwy pomniejszych stacji, na których się nie zatrzymaliśmy, czasem nawet nie zdążyłam ich przeczytać. Nagle, po południu, okno wypełniło się morzem, pomarszczoną taflą Adriatyku, w niektórych miejscach na wyciągnięcie ręki. Przejeżdżając przez Marchię, doznałam optycznego złudzenia, jakby domy przyciągane wodą przechylały się w stronę plaży. Adriana nie wie, że przyjechałam. Pójdę do niej jutro, ale nie do Borgo Sud.

Tutaj, w hotelu, zapytano, czy życzę sobie kolację, odpowiedziałam, że jestem zbyt zmęczona, żeby zejść do restauracji. Silna i życzliwa Abruzja zapukała, gdy oglądałam wiadomości, rękami jasnowłosej dziewczyny przyniosła mi ciasteczka i ciepłe mleko. Było słodkie samo z siebie, nie musiałam dosypywać cukru. Zapomniany smak pierwszego pożywienia: piłam małymi łykami, nie spodziewałam się pocieszenia, które załało duszę. Christophe twierdzi, że mleko szkodzi ludziom dorosłym, że tylko człowiek jest tak głupi, żeby pić je nadal, gdy już został odstawiony od piersi. Zaraz potem zobaczyłam, jak wychodzi na klatkę z ręką zanurzoną w torebce z chipsami. To mój francuski sąsiad, pracuje w synchrotronie w Grenoble. Razem opiekujemy się kotem i kilkoma roślinkami, które stoją między naszymi drzwiami. Przed wyjazdem zostawiłam mu kartkę, teraz sam musi się nimi zająć.

Piero lubił czasami to właśnie jeść na kolację, kiedy późno wracał.

– Wezmę tylko ciasteczka i mleko.

Zawsze mieliśmy zapas ciastek w różnych smakach, żeby były na śniadanie. Moczył je w kubku, ściskając kciukiem i palcem wskazującym, i opowiadał mi cały swój dzień.

Dom, w którym zamieszkaliśmy po ślubie, leży niedaleko. W myślach przemierzam uliczki, jakie

dziela via Zara od hotelu. Nasz apartament tak mocno zapadł mi w pamięć, że mogłabym wyliczyć wszystkie jego szczegóły: krzywa płytki w łazience, która głucho pobrzękiwała, jeśli się na niej stało, świetlne ewolucje na ścianach w ciągu dnia, cichy trzask w oknie, kiedy słońce je rozgrzewało, nagła dylatacja szyby jako nasz budzik. Piero zaczynał się wtedy przeciągać, protestował przeciwko konieczności wstawania. Od-dychaliśmy powietrzem, które zawsze było odrobinę błękitne, wpadało przez taras od strony morza. Bo morze parowało prosto do naszego mieszkania.

Teraz nie czuje się już soli w powietrzu, a szum fal ledwo dociera z zewnątrz.

Tamtej nocy też nie mogłam spać: za duże było to nasze łóżko. To nasze trzecie lato w domu, zapach nowości zniknął, w kuchni zmatowiały palniki. Piero czuwał przy ojcu w szpitalu. W najciemniejszej chwili przed świtem ktoś zaczął wściekle dzwonić domofonem. Wykrzyczała swoje imię, w sekundzie znalazła się na piętrze. Za drzwiami słyszałam nerwowe kroki, dyszenie. Zwlekałam z otwarciem zamka, za progiem stała ona i mamrotała coś przeciwko mnie. Nie widziałam siostry od ponad roku.

W dzieciństwie byliśmy nierozłączne, potem nauczyłyśmy się żyć osobno. Bywało, że nie miałam o niej wieści przez kilka miesięcy, nigdy jednak tak długo. Kierował nią instynkt koczowniczy, kiedy



jakieś miejsce przestawało jej odpowiadać, porzucała je. Nasza matka mówiła jej czasami: jesteś jak Cygan-ka. Ja też taka byłam, ale na swój sposób.

Weszła w pośpiechu, kopniakiem zamknęła drzwi za plecami. Jeden z pantofli spadł z jej stopy i pozostał na ziemi, podeszwą do góry. Na rękach trzymała śpiące dziecko, jego gołe nóżki zwisały bezwładnie wzdłuż chudego ciała Adriany, główka opierała się pod jej brodą. Syn. Nawet nie wiedziałam, że była w ciąży.

Nie przypuszczałam, że właśnie zaczyna się rewolucja w moim życiu, bo gdybym się domyśliła, być może zostawiłabym ich za drzwiami. Adriana miała się za anioła z mieczem w dłoni, ale była aniołem nieuważnym i raniła nawet przez pomyłkę. Gdyby nie przyjechała, kto wie, czy cała reszta w ogóle by się wydarzyła.

Nasze ostatnie spotkanie zakończyło się kłótnią. Zaczęłam jej szukać dopiero po kilku tygodniach, lecz bez skutku. Czekałam więc na ruch z jej strony. Nikt ze wspólnych znajomych nie widział jej więcej w mieście, ale co jakiś czas wysyłała widokówki do rodziców. Pokazywali mi je, kiedy ich odwiedzałam: port w Pescarze, Pescara nocą. Pozdrowienia od córki, zamaszysty podpis. Wiedziała, że przeczytam, były dla mnie: dowód, że żyje i pamięta.

Ruch wykonała tamtej czerwcowej nocy o trzeciej nad ranem. Stałam nieruchomo i milczałam,

wpatrując się w nich. Od tyłu dziecko wyglądało jak duża lalka, z tych, jakich jego matka nigdy w dzieciństwie nie miała.

Ledwo ją poznawałam: na głowie miała odkształcony słomiany kapelusz z szerokim rondem, ze sztucznymi wyblakłymi kwiatami, rozpruty z jednej strony. Pod nim świetliste i przenikliwe oczy, trochę rozszerzone, jak wtedy kiedy się bała.

Zapytała o Piera, powiedziałam, gdzie jest. Wtedy się zniecierpliwiła, że stoimy tak w przedpokoju, ruszyła przed siebie, prawie mnie potracając. Nie zapomniała rozkładu pokoi, chociaż była tu zaledwie kilka razy, pewnym krokiem poszła prosto do sypialni. Położyła dziecko na łóżku i je przykryła, sama usiadła obok. Stałam przed nią, ona milczała, spoconą twarz zanurzyła w dłoniach, łokcie oparła na kolanach. U jej stóp stała torba, którą zrzuciła z ramienia.

– Co się stało? – odważyłam się zapytać.

Nie odpowiedziała, podeszła do okna, żeby ukryć łzy. Drżała, pod nocną koszulą, którą wzięłam za letnią sukienkę, rysowały się łopatki. Rondem zahaczyła o szybę, kapelusz spadł. Nad prawym uchem brakowało włosów, długi do ramion kosmyk został ścięty jak podczas zabawy we fryzjera, która źle się kończy. Szybko zakryła się kapeluszem, ignorując moje zdziwienie. Cichy szelest: dziecko się rozkopało i odwróciło w stronę zapalanej lampy. Teraz spało w tej samej

pozycji co w brzuchu matki. Miało pulchne policzki i mokre przecinki grzywki na czole.

– Jak ma na imię? – zapytałam szeptem.

– Vincenzo – odparła Adriana spod okna.

Uklękałam obok łóżka, powąchałam siostrzeńca. Otaczała go woń mydła i ciepłego chleba. Zaryzykowałam i lekko dotknęłam go palcem.

– Musisz nas na jakiś czas ukryć – powiedziała Adriana.

Jej poważny ton przestraszył mnie bardziej niż samo żądanie.

– Zapytam Piera.

– Piero to dobry człowiek, na pewno się zgodzi. Chyba że ty nie chcesz. – I znowu odwróciła się do mnie plecami, patrząc na białe stożki światła pod ulicznymi lampami.

Zostawiłam ją i poszłam do kuchni nastawić wodę. Grymasiła nad parującą filiżanką rumianku, w końcu zaczęła dmuchać, żeby ostudzić napar. Wypiła jak gorzki syrop, z grymasem na twarzy i głośnym siorbaniem.

Dziecko zakwiliło, rozrzuciło odruchowo rączki, ale się nie obudziło.

– Coś wam grozi? – zapytałam.

– Nie tutaj – odparła w zamyśleniu.

Poszła do pralni, jedną nogą na bosaka. Zbliżyłam się do Vincenza, żeby poszukać podobieństwa, ale nie

było to łatwe, gdy spał, tylko odrobinę buńczuczne usteczka przypominały jego matkę. A krój nosa przywoływał na myśl innego Vincenza, wujka, którego chłopiec nigdy nie pozna.

Z czasem coraz bardziej go przypominał – twarzą, chodem, śmiechem, kiedy odrzucał głowę do tyłu. Gdy matka zabierała go do miasteczka, przechodnie na rynku przystawali i mu się przyglądali, bo był taki jak ten, którego już nie było. Upór też miał po nim, na szczęście umiał go właściwie wykorzystać. W wieku sześciu lat godzinami pochylał się nad klockami Lego: budował statki, nie zaniedbując żadnego detalu. Teraz chce zostać inżynierem morskim.

– Rozwalę ci łeb, jeśli nie będziesz się uczył – grozi mu czasami matka, ale całkiem niepotrzebnie.

Adriana zdołała wychować chłopca na kogoś całkiem innego niż nasz brat, nawet na kogoś innego niż ona sama.

Tamtej nocy imię dziecka było dla mnie wstrząsem. Ale kiedy zaczęłam je sobie powtarzać, za każdym razem pasowało do niego coraz bardziej. Te trzy sylaby brzmiały zarazem świeżo i antycznie. Adriana związała swoje małeństwo z historią pełną nieszczęść i cudów, śmierci i ocalenia: z nagą historią naszej rodziny.

### 3

Wczoraj przed południem wezwano mnie do sekretariatu. Niewiele brakowało do końca mojego wykładu, rozmawialiśmy właśnie o Francesco Biamontim. *Słowa noc* to jedna z powieści, które wybrałam na ten semestr; choć niełatwa, spodobała się moim studentom. To miało być wyzwanie dla ich znajomości języka i przekonań o własnym kraju.

Alaina uderzyły „niespokojne chwile ciszy” u bohatera i w krajobrazie Alp Nadmorskich, które przepłatają się w książce od pierwszej do ostatniej strony. Jak znaki interpunkcyjne, stwierdził.

– Zupełnie jakbyśmy byli w Ligurii – dodała brunetka z drugiego rzędu.

– W gruncie rzeczy to niedaleko, tuż za granicą, trochę na południe. – Skinęłam w stronę okna.

Luc wiercił się na krześle, chciał zabrać głos. Zamierzał przeczytać jedno zdanie, które ugodziło jego narodową dumę: „Co jakiś czas ktoś bierze Francję w ramiona, pokazuje ją światu na dowód, że jeszcze żyje, ale ona już jest martwa”<sup>\*</sup>.

---

<sup>\*</sup> Francesco Biamonti, *Le parole la notte*, Einaudi, Torino 2014 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Uprzedziłam go pytaniem: „Czy zawsze trzeba odrzucać słowa krytyki? Czy nie mogą być pomocne w zrozumieniu tego, czego my nie widzimy?”.

Ktoś dzwonił do mnie z Włoch w pilnej sprawie. Próbował na komórkę, ale była wyłączona, jak mi powiedziała sekretarka, zasłaniając słuchawkę dłonią. Zanim odebrałam, zdążyłam jeszcze wyobrazić sobie różne możliwe katastrofy, ale nie tę. Nie tę, która nie pozwala mi zasnąć w pokoju numer 405. Słyszę, jak za ścianą ktoś wchodzi, zamyka drzwi, oddaje mocz.

Nie od razu rozpoznałam głos, dialekt Pescary brzmiał tak nierealnie w słuchawce.

– Musisz tu natychmiast wracać. – Reszta to był nerwowy bełkot.

Rozmowa była krótka, powiedziałam, że wyjadę rano, jeżeli znajdę miejsce w pociągu. Kiedy się rozłączyłam, brakowało mi powietrza, sekretarka podstawiła krzesło, usiadłam. Przypomniałam sobie o ćwiczeniach oddechowych, które Piero pokazał mi, gdy po raz pierwszy razem wybraliśmy się na Gran Sasso. Wchodziliśmy szlakiem Via Direttissima, dzień był tak pogodny, że góra wznosiła się przed nami jak oślepiająca bazylika. Na stromym odcinku spojrzałam w pustkę pod nogami, tak łatwo było sięgnąć po śmierć, wystarczyło puścić ręce. Nie byłam w stanie iść dalej, drżałam, uczipiona skalnej ściany.

Teraz, w sekretariacie Uniwersytetu w Grenoble, wykonałam kilka wdechów przeponą i odzyskałam kontrolę. Podano mi szklankę wody, wypiałam. Przeszłość wzywała mnie do siebie jak naciągnięta sprężyna, która, nagle zwolniona, wraca do punktu wyjścia.

Teraz jestem tutaj. Z zewnątrz, od strony portu, dochodzi mechaniczny świst potęgujący się w ciemności. Urywa się w regularnych odstępach, a wtedy cisza robi się ciężka. Kto wie, czy Adriana słyszy i świst, i ciszę. Jutro ją zobaczę. Ale jutro już jest, o czym informują mnie fluorescencyjne numery na nadgarstku: 01:01.

Ona też nie spała tamtej nocy, kiedy przyszła do mojego mieszkania. Rankiem czekała na mnie w łazience, siedząc na brzegu wanny, z ręcznikiem na ramionach i świeżo umytymi włosami.

– No dalej, nie chcę, żeby Piero tak mnie zobaczył – powiedziała i podała mi nożyczki.

Zaprotestowałam, że nie potrafię, że powinna iść do fryzjera.

– Nie, wstydzę się. To nie jest trudne, tnij na taką długość. – Dotknęła się powyżej ucha.

Uczesała się na gładko, żeby ułatwić mi zadanie. Zabrałam się do pracy z nieodpowiednimi nożyczkami w jednej ręce i pasmami jej włosów w drugiej. Kosmyki opadały i bezgłośnie kładły się jej na nogach,

na dnie wanny, na podłodze. Adriana uspokoiła się, już nie napinała mięśni, nie zaciskała zębów.

– Skąd przyszłaś? – zaryzykowałam pytanie.

– Z miejsca, którego nie znasz. – Strzepnęła włosy z nosa. – Nie wyskakuj mi tu z pytaniami, tylko tnij. – Ziewnęła, aż kości jej zatrzeszczały. – Musisz mi pożyczyć coś do ubrania, wyszłam w pośpiechu. – Roześmiała się, szarpiąc nocną koszulę.

– A Vincenzo?

– Nie potrzebuje mleka, karmię go jeszcze. A inne rzeczy potem mu kupisz.

– Ja?

– Ty. Lepiej, żebym przez jakiś czas się nie pokazywała. – I zamknęła usta, ucinając dalszą dyskusję.

Gdy skończyłam, otrzepała się, wtedy obie załamałyśmy ręce nad rezultatem: włosy wyszły nierówne, poszarpane, a Adriana z głębokimi sińcami pod oczami wyglądała jak chora. Zamiast się rozzłościć, poprosiła o elektryczną maszynkę Piera i bez pośpiechu dokończyła pracę, pomagając sobie ruchami głowy.

– Zaczynamy od zera – oznajmiła, z zadowoleniem patrząc w lustro.

Nagle wydała się taka mała i krucha, jak jajko. Miała dwadzieścia siedem lat, budziła we mnie instynkt macierzyński, chciałam dotknąć jej szorstkiej głowy, doskonałej w zestawieniu z dziką twarzą. Musnęłam ją czubkami palców, a ponieważ się nie



odsunęła, wyciągnęłam całą dłoń, jakbym próbowała zamknąć jej głowę w nieruchomej piśszczocie.

Poszliśmy do pokoju, żeby sprawdzić, co u Vincenza. Adriana położyła dwie poduszki na brzegu łóżka, żeby nie spadł na podłogę. Z drugiej strony spał Piero, w ubraniu, odwrócony w stronę dziecka, jedną ręką delikatnie obejmując jego ciało. Przez okno wpadało szare jeszcze światło, odgłosy budzącego się miasta i śmieciarek na ulicach. Adrianie wyrwał się okrzyk zadziwienia, Piero otworzył oczy, ale się nie poruszył.

– Tego się po tobie nie spodziewałem – powiedział, skinąwszy na dziecko.

Wszedł po cichu, od razu usłyszał nasze głosy w łazience. Chwila zaskoczenia, potem położył się koło niespodzianki. Teraz się przeciągał, prężąc opalone stopy.

W kuchni żartował z Adrianą na temat jej nowej fryzury. Dotknął mojej ręki, gdy zapalałam gaz pod kawiarką. Z bliska czuć było od niego zapach szpitala, wrócił do domu przesiąknięty środkami dezynfekującymi i bólem. Zapytałam, jak się czuje jego ojciec, uspokoił mnie.

– Nakryj w jadalni, to wyjątkowy poranek – powiedział i wyszedł.

Tak wychowała go matka i tak robiłam i ja przy wielkich okazjach: flandryjski obrus, porcelanowe

filiżanki, srebrne łyżeczki, wszystko otrzymane w prezencie ślubnym. Nakrywałam niespokojna o Adrianę, którą słyszałam przez drzwi, o jej dziecko, które kilka godzin temu znalazło się w moim życiu. Właśnie nadeszła przyszłość, inna, niż się spodziewałam.

– To jest ciocia – przedstawiła mnie Vincenzowi, kiedy się obudził.

Chciała dać mi go na ręce, on jednak wykrzywił usteczka do płaczu, więc się odsunęłam. Rozglądał się ciemnymi oczkami. Marszczył brwi, ale zaraz je prostował, uspokojony kontaktem z matką. Z ciekawością macał ją po ogolonej głowie. Adriana przewinęła go – w torbie miała pieluszki – a potem rozpięła koszulę i przystawiła go do piersi, siedząc na moim łóżku. Vincenzo pił do syta, dotykając rączką piersi pokrytej błękitnymi żyłkami. Z kącika ust mleko ściekało mu na szyję. Nie mogłam uwierzyć, że moja siostra, choć taka chuda, może mieć tyle pokarmu. Niemowlę kątem oka sprawdzało, czy pozostaję w bezpiecznej odległości. Miało już dziewięć miesięcy.

Piero wrócił z polnymi kwiatami kupionymi na ryneczku i ciepłymi jeszcze cornetti z cukierni Renzi. Adriana od razu się na nie rzuciła, jednym kęsem odgryzła połowę rogalika.

Dziecko pozwoliło, żeby wujek wziął je na ręce, uśmiechało się do niego tak, jakby podczas krótkiego wspólnego snu nawiązali porozumienie. Przyniosłam

z kuchni bulgoczącą jeszcze kawiarkę. Usiedliśmy – Piero z Vincenzem na rękach, Adriana obok. Podąła synkowi kawałek cornetto. Wyglądaliśmy jak rodzina, która rozkoszuje się porannym posiłkiem.

Nagle ktoś zapukał kilkakrotnie do drzwi. Adriana zerwała się, uderzyła nogą o stół. Kawiarka przechyliła się, ale złapałam ją w locie, niestety, oparzyłam przy tym rękę. Siostra uciekła do łazienki, zapominając o Vincenzu.

Sąsiadce z góry spadło pranie na nasz balkon. Nie wiedziała, że mamy siostrzeńca, jaki piękny chłopczyk, a gdzie mama? Jest, ale zajęta. Teraz i nam przyjdzie ochota na dziecko. I chwyciła niemowlę za rączkę, machając nią wesoło. To było dla Vincenza za dużo: matka nagle gdzieś przepadła, a jakaś obca kobieta mówiła coś do niego i go dotykała. Rozplakał się najpierw cicho, a chwilę później na całe gardło. Ale i to nie wywabiło Adrianę z kryjówki, a może go nie słyszała, skulona w jakimś kącie z rękami przyciśniętymi do uszu, jak czasami w naszym domu w miasteczku. Wołałam ją, nie odpowiedziała, zaczęłam więc szarpać za klamkę, walić pięściami w drzwi do łazienki. Przestałam przemawiać się sąsiadką. Zawsze tak było z moją siostrą, w sekundzie potrafiła wywołać we mnie zarówno czułe wzruszenie, jak i furję.

– Adriana, wyłaż, weź swoje dziecko – wrzasnęłam.  
Poczekaliśmy na odpowiedź, której nie było.

Wróciłam do przedpokoju i oddałam oniemiałej sąsiadce część garderoby. Pożegnałam ją w pośpiechu. Piero w tym czasie próbował uspokoić Vincenza, pokazywał mu coś w nadziei, że go zabawi: fale na morzu widoczne przez otwarte okno, płynącą łódkę, ale wzrok chłopczyka nie docierał tak daleko. Teraz pragnął tylko powrotu matki. Gdy tylko zamknęłam drzwi wejściowe, Adriana wyszła z łazienki z umytą twarzą, wzięła synka, który już wyciągał do niej rączki, i w jednej chwili, jak po dotknięciu ukrytego wyłącznika, płacz ucichł.

– Uważasz się za dobrą, ale jest w tobie wiele zła – nie omieszkała mi wyrzucić, zanim na powrót usiadła przy stole, żeby dokończyć śniadanie.

Opadliśmy z Pierem na kanapę, czułam, jak z jego skóry paruje pot. Nie przywykliśmy do zamieszania, jakie wywołują dzieci. Kilku z naszych przyjaciół już je miało, i to całkiem małe; lubiliśmy ich potomstwo na odległość. Sami nie myśleliśmy teraz o rodzicielstwie, nie pragnęliśmy tego, dzieci, choć w przyszłości konieczne, były jeszcze w sferze mało konkretnych fantazji.

Minęło kilka minut, wstałam, musiałam przygotować pokój, kupić niezbędne rzeczy dla Vincenza. Piero położył nogi na kanapie i zdrzemnął się, by odpocząć po nocy w szpitalu z ojcem i po porannych niespodziankach.

Porozmawialiśmy wieczorem. Kiedy wszedł, leżałam już w łóżku. Zapalił lampkę na szafce nocnej i pochylił się, by pocałować mnie w kark, w swój ulubiony krąg. Cichy szelest koszuli zawieszanej na krzesle i butów zdejmowanych pod oknem.

– Moja dziewczynka jeszcze nie śpi – szepnął, wnosząc do pościeli zapach mięty i resztki wesołości.

– Nie gniewaj się na Adrianę – powiedziałam. – Wpadła bez uprzedzenia, ale raczej nie zostanie z dzieckiem na długo.

Zgasił światło i objął mnie od tyłu, lubił zasypiać w tej pozycji.

– Cieszę się, że są u nas. Vincenzo jest kochany, a twoja siostra zawsze mnie rozbawia.

– Ale mnie nie – odparłam i wzięłam go za rękę.

Potarł nosem o moją łopatkę, jakby go swędziało. Potem krzyknął dla żartu, tłumiąc głos na moich plecach:

– Nawet latem masz lodowate stopy.

– A ty gorące.

– Zaraz ci je ogrzeję – powiedział, zapadając w sen.

Poczułam, jak jego ciało wiotczeje, a on miękko mnie otula. Jego ręka zwolniła uścisk. Najchętniej leżałabym tak aż do rana, przytomna i bezpieczna.

# Spis rozdziałów

Rozdział 1 • 9	Rozdział 13 • 114
Rozdział 2 • 12	Rozdział 14 • 123
Rozdział 3 • 19	Rozdział 15 • 135
Rozdział 4 • 28	Rozdział 16 • 145
Rozdział 5 • 39	Rozdział 17 • 156
Rozdział 6 • 49	Rozdział 18 • 165
Rozdział 7 • 57	Rozdział 19 • 175
Rozdział 8 • 65	Rozdział 20 • 185
Rozdział 9 • 74	Rozdział 21 • 194
Rozdział 10 • 83	Rozdział 22 • 203
Rozdział 11 • 93	Rozdział 23 • 212
Rozdział 12 • 103	Rozdział 24 • 221